

Materiały

BIBLIOTEKARZ Z BARCZEWA

Fragmety wspomnień Franciszka Iwanowskiego, laureata II nagrody w „Konkursie na pamiętnik osadnika Ziemi Odzyskanych” zorganizowanym przez Instytut Zachodni w r. 1957¹.

Początki pracy kulturalno-oświatowej w Barczewie²

Biblioteka szkolna była jesienią 1946 r. bardzo ubożuchna, a tymczasem czytających było coraz więcej. Wśród dorosłych również coraz więcej było amatorów czytelnictwa. W miasteczku istniała wprawdzie od kilku miesięcy mała, prywatna, bardzo źle prosperująca, płatna wypożyczalnia, o niesłychanie mizernym księgozbiorze, która w żadnym wypadku nie mogła zaspokoić budzącego się głodu czytelniczego. Jednak sprawa ta jesienią tegoż roku nabrała warunków do pomyślnego rozwiązania. W październiku kierownik szkoły otrzymał z Inspektoratu Szkolnego pismo, które polecało mu wytypowanie z grona nauczycielskiego kogoś, chętnego i zamilowanego do książek, dla przeprowadzenia organizacji biblioteki powiatowej powiatu olsztyńskiego z siedzibą w Barczewie. Kol. Ratajski na posiedzeniu rady pedagogicznej odczytał pismo i zapytał nas, kto podejmie się tej pracy.

Nie zgłosił się nikt. Po paru dniach przybył do szkoły osobiście inspektor oświaty pozaszkolnej Antoni Neumann, który prosił mnie, bym się podjął pracy zorganizowania biblioteki powiatowej. Początkowo odmówiłem. Inspektor był jednak człowiekiem upartym. Obiecał, że otrzymam dla prowadzenia tej pracy zniżkę godzin. Niepewny, czy wywiążę się z tego trudnego i odpowiedzialnego zadania, zgodziłem się wreszcie. Inspektor skierował mnie do Referatu Bibliotek przy Kuratorium Okręgu Szkolnego w Olsztynie, gdzie od tej chwili zaczęły się moje częste wizyty. Tam otrzymałem instrukcję, książki i druki biblioteczne. W drugiej połowie listopada otrzymałem pierwszy komplet książek liczący około dwustu woluminów. W ciągu jednego tygodnia otrzymany księgozbiór opracowałem i pod koniec listopada 1946 r. pierwsze książki nowo powstającej biblioteki powiatowej poszły w ręce czytelników. Nie było jeszcze mowy o lokalu i meblach bibliotecznych. Dwustomatowy księgozbiór mieścił się w moim mieszkaniu i tam odbywało się wypożyczanie. W związku z tym były różne niedogodności. Książki zajmowały miejsce na moich własnych półkach. Musiałem z nich usunąć swoje książki. Niektóre z nich włączyłem do szeregu księgozbioru powstającej biblioteki. Do mego mieszkania zaczęli zaglądać nieraz bardzo późno różni mało znani lub nieznanymi ludźmi z prośbą o wy-

¹ Autor pamiętnika, nauczyciel z zawodu, jest repatriantem z Wileńszczyzny. Osiedlił się wraz z 4-osobową rodziną w Barczewie (Warmia) w lecie 1946 r., gdzie wnet przeszedł do pracy kulturalno-oświatowej (bibliotekarstwo).

² Wyboru fragmentów dokonała i tytuły rozdziałom nadała redakcja „Pamiętnika osadnika Ziemi Odzyskanych”.

pożyczenie książki lub o jej wymianę. Liczba czytelniców była początkowo nie-duża i przez czas dłuższy nie przekraczała 50 osób.

... W grudniu tegoż roku wizytator dr Majewski, kierownik Referatu Bibliotek, zaproponował mi dalsze podjęcie pracy bibliotecznej ze zniżką 15 godzin lekcyjnych tygodniowo. Chodziło o wynalezienie kilkupokojowego lokalu, o dalsze opracowanie księgozbioru oraz o organizowanie punktów bibliotecznych w ośrodkach gminnych. Wahalem się czas dłuższy czy przyjąć tę ofertę. Pociągała wprawdzie mnie ta praca, ale jednocześnie pociągała i praca w szkole. Miałem już za sobą dziesięcioletni staż pracy nauczycielskiej. Przed samą wojną ukończyłem Wyższy Kurs Nauczycielski... Już miałem zdecydować się na pozostanie w szkole, gdy któregoś dnia wizytator bibliotek wezwał mnie do Referatu Bibliotek i zaczął gorąco zachęcać, bym przeszedł do pracy bibliotekarskiej całkowicie, roztaczając przed moimi oczami czarującą perspektywę rozwoju bibliotek i ponęt tej pracy. Ukazał znaczenie tej akcji w rozwoju oświaty i kultury, zapoznał z olbrzymim planem Ministerstwa Oświaty, mającym za zadanie stworzenie w ciągu najbliższych kilku lat gęstej sieci bibliotek powiatowych, miejskich i gminnych oraz sieci punktów bibliotecznych, które by się znajdowały w każdej większej wsi. Do tej wielkiej pracy Ministerstwo Oświaty postanowiło zaangażować nauczycieli, stworzyć specjalne etaty bibliotekarskie, wyszkolić wytypowanych nauczycieli na dłuższych kursach.

Przyznam się, że po dłuższej wymianie zdań uległem pokusie zostania jednym z pionierów tej wielkiej akcji bibliotecznej. Byłem już poinformowany, że praca ta będzie wymagała bardzo dużo wysiłku i będzie związana z mnóstwem kłopotów. Jakoż istotnie kłopoty te zaczęły się niebawem. Trzeba było myśleć o lokalu i o ewentualnym jego remoncie, o meblach, opracować nadsyłane komplety, prowadzić akcję propagandową i czytelniczą, często wyjeżdżając w teren oraz do Olsztyna. Ponieważ pracowałem jeszcze w szkole, dosłownie byłem pozbawiony paru godzin wolnego czasu dla własnego życia. Zaniedbałem rodzinę, własne samokształcenie, nie miałem czasu na żadną rozrywkę. Wieczory wprawdzie spędzałem w domu, ale przy opracowywaniu księgozbioru, wypożyczaniu książek, redagowaniu pism, sporządzaniu katalogów, gazetek i haseł propagujących książki i czytelnictwo.

Tygodniami chodziłem po Barczewie i zwiedzałem wszystkie opustoszałe lokale, aby znaleźć coś odpowiedniego dla bibliotek. Niestety, pomieszczenia, które zwiedzałem, wymagały poważnych remontów, a więc i znacznych wydatków. Tymczasem nie było na ten cel ani grosza. Dotychczas drobne rachunki pokryłem sam, żyjąc nadzieją, że kiedyś to będzie mi zwrócone. Chciałem znaleźć większe pomieszczenie, a nawet budynek oddzielny, który stałby się prawdziwym ośrodkiem kultury... Pragnieniem moim było stworzenie domu kultury, w którym mieściłyby się różne instytucje kulturalno-oświatowe, a przede wszystkim czytelnia i sala teatralno-odczytowa.

Pomyślnie zostało rozwiązane zagadnienie oprawy książek, dzięki otwarciu dużej introligatorni, w czym również brałem czynny udział.

Na temat przyszłych prac kulturalno-oświatowych wielokrotnie rozmawiałem z inspektorem szkolnym Neumannem, który przychylnie ustosunkował się do moich zamierzeń i projektów i czynnie popierał je gdzie się dało. Otrzymałem polecenie znalezienia już nie tylko lokalu, ale całego budynku, w którym można by było prowadzić na szerszą skalę pracę oświatową.

Miałyby w nim mieścić się dwie biblioteki, powiatowa i miejska, świetlica, zespół teatralny, koło prelegentów, a nawet ewentualnie kurs repolonizacyjny.

Dłuższy czas poszukiwania moje były bezskuteczne. Znalazłem wprawdzie sporo opuszczonych budynków, ale żaden z nich nie nadawał się do wspomnianego celu.

Pewnego razu, będąc na ul. Grunwaldzkiej, zwróciłem uwagę na narożny budynek piętrowy, stojący w głębi ślepej uliczki, tuż obok kościoła ewangelickiego z lewej strony. Wejście było zamknięte. Obszedłem go dookoła. W wielu oknach brakowało szyb. Przez jedno okno od strony ogrodu dojrzałem wnętrze sporej salki ze sceną. Był to budynek plebanii ewangelickiej, o którym już coś niecoś słyszałem. Był on niezamieszkały. ... Budynek wymagał niewielkiego remontu i o przydział tego domu na dom kultury postanowiłem się ubiegać.

Łatwiej jednak było napisać pismo na przydział niż go otrzymać i doprowadzić budynek do stanu natychmiastowej używalności. Nie miałem ani grosza na to i nie przewidywałem w najbliższym czasie żadnej kwoty na cel powyższy. Postanowiłem zrobić to, na co miałem możliwości w danym momencie: doprowadzić cały budynek i jego otoczenie do względnej czystości.

Zajął mi to parę tygodni. Na ten cel też nie miałem ani grosza. Toteż pracowałem intensywnie sam przy pomocy zwerbowanej gromadki dzieci szkolnych. Już po tygodniu wnętrze budynku było dość czyste. Uprzątnęliśmy również strych i piwnice. Później zabraliśmy się do otoczenia budynku. Zamrażająca ziemia i śnieg nie pozwoliły na dokładniejsze oczyszczenie ogrodu i małego podwórza. Uskuteczniliśmy to dopiero w początkach kwietnia, kiedy wróciłem z 8-tygodniowego kursu bibliotekarskiego. ... Z samego budynku nie korzystaliśmy do wiosny, gdyż w oknach brakowało wielu szyb, brakowało kilku podwójnych ram okiennych, drzwi były pozbawione częściowo zamków i klamek, nie było ani jednego klucza prócz klucza do drzwi wejściowych, instalacja elektryczna w wielu miejscach była przerwana, w kilku pokojach urządzona prowizorycznie. Brakło liczników. Wody bieżącej nie było, kanalizacja uszkodzona, a ustępy nieczynne.

Poza tym pokoje świeciły pustkami. Zgromadziłem resztki mebli i urządziłem jako tako jeden pokój, mający być pracownią i magazynem biblioteki powiatowej. Starania o kredyt skończyły się fiaskiem, mimo że energicznie zabiegałem w Zarządzie Miejskim, Wydziale Powiatowym i w Inspektoracie Szkolnym.

Rozpocząłem również starania w Urzędzie Likwidacyjnym o przydział niezbędnych mebli. ... Dopiero w maju 1947 r. otrzymałem z delegatury miejscowego Urzędu Likwidacyjnego trochę bardzo zniszczonych mebli, za które musiałem zapłacić własną gotówką. ... Zarząd Miejski dostarczył nieco szkła i szklarza, który najpierw oszklił pomieszczenia przeznaczone na bibliotekę powiatową. Wystarałem się również o robotnika, który naprawił dach, gdyż porządnie przeciekało i wskutek tego ulegały zniszczeniu ściany i podłogi. Początkowo wszystkie należności płaciłem sam, gromadząc coraz więcej rachunków. Było to dla mnie bardzo uciążliwe, gdyż miałem na utrzymaniu pięć osób, a pobory nauczycielskie były nader szczupłe.

W styczniu 1947 r. otrzymałem z Kuratorium pismo skierujące mnie na 8-tygodniowy kurs do Spały dla kierowników bibliotek powiatowych. Pojechałem z ciężkim sercem gdyż zima była surowa, nie miałem opału, żona choro-

wała. Uważałem jednak, że bez zdobycia kwalifikacji nie będę mógł pracować należycie. Toteż mimo narzekań żony i wielu nie załatwionych spraw własnych pojechałem.

... Dwa miesiące intensywnego szkolenia dały mi wiele teoretycznej i praktycznej wiedzy bibliotekarskiej oraz odkryły przede mną perspektywy dalszego zdobywania tej wiedzy metodą kształcenia się zaocznego. Dyrektorem kursu był wizytator Franciszek Sedleczek, doświadczony bibliotekarz. Był to siwiejący już pan, iskrzący się dowcipem i sarkazmem, człowiek głębokiej wiedzy bibliotekarskiej i wielkiego serca.

... Po powrocie do domu przenieśliśmy księgozbiór biblioteki powiatowej do nowego pomieszczenia i tam rozpocząłem urzędowanie. Byłem jeszcze związany ze szkołą. Dołączyły się liczne wyjazdy do Olsztyna. Wzrosła gwałtownie liczba czytelników. Zawsze brakło mi czasu, toteż codziennie późnym wieczorem kładłem się do łóżka ledwie żywy ze zmęczenia.

Koniec roku szkolnego zbiegł się z uroczystością oficjalnego otwarcia biblioteki powiatowej z oddziałem biblioteki miejskiej oraz domu kultury. Odbędzie się to bardzo uroczystie przy udziale władz powiatowych i miejskich oraz licznie zebranej ludności i młodzieży szkolnej. Sam budynek i wnętrza jego pomieszczeń przedstawiały się nienajgorzej, bo starania moje zaczęły powoli okazywać jaki taki skutek. Z Zarządu Miejskiego otrzymałem 10 tysięcy złotych, z Wydziału Powiatowego 20 tysięcy złotych. Odmalowałem salę teatralną i postawiłem w nim duży piec kaflowy. Wszystkie pojedyncze ramy okien otrzymały szyby, drzwi zamki i klamki, dorobiłem do nich klucze. Instalacja elektryczna została uzupełniona, woda podłączona i ustępy naprawione. Muszę przyznać, że w latach 1947—1950 Zarząd Miejski szedł mi na ogół na rękę... Jak już wspominałem, umeblowałem bibliotekę powiatową sprzętem otrzymanym z Urzędu Likwidacyjnego. Było to biurko, parę stołów i krzesel. Otrzymałem z Zarządu Miejskiego dwa regały metalowe po byłej bibliotece niemieckiej.

*

Latem tegoż roku zacząłem nawiązywać kontakt z młodzieżą autochtoniczną. Projektowaliśmy z inspektorem oświaty dla dorosłych kurs repolonizacyjny oraz świetlicę. Na dalszą metę przewidywaliśmy zespoły: teatralny i czytelniczy. Toteż lato było nie tylko gorące ze względu na upały. Pracy było tyle, że rzadko mogłem z rodziną spędzić popołudnie niedzielne w pięknej miejscowości letniskowej położonej nad jeziorem o 3 km od Barczewa, zwanej Zalesiem. Piękny, stary, wysokopienny las otaczał jezioro od północy. Skocznia, pięknie zadrzewiona po bokach szosa asfaltowa, grzybek do tańca, dom wczasowy i urocze widoki przyciągały tu liczną ludność nie tylko z pobliskiego Barczewa, ale nawet z Olsztyna. Bywałem tu jednak rzadko. Zawsze mi brakowało czasu. Angażowano mnie w tym czasie do bardzo różnorodnych prac społecznych i kulturalno-oświatowych. Byłem jednym z założycieli Powiatowego Towarzystwa Teatru i Muzyki Ludowej, którego zostałem wiceprezesem. Piastowałem pracochłonną funkcję przewodniczącego Miejskiego Komitetu Odbudowy Warszawy. Zbiórki i imprezy dały nam z górą 70 tys. zł. w ciągu 7 miesięcy na odbudowę stolicy. Najbardziej uciążliwą była narzucona mi wprost funkcja prezesa miejskiego koła PCK. Dużo miałem z tym kłopotu: musiałem chodzić po miasteczku i robić wywiady, rozpatrywać i akceptować podania o zapomogi,

przydział odzieży z darów UNRRA, starać się o fundusze i zbierać składki szlonskowskie, załatwiać pisma i opracowywać sprawozdania.

*

Zwiększenie się liczby czytelników wynikało z coraz bardziej nasilonej akcji propagandowej czytelnictwa oraz rozpoczętej akcji odczytowej. Ta dawała początkowo słabe wyniki. Liczba słuchaczy na odczytach rzadko przekraczała 20—25 osób. Brałem tematy z historii literatury i z przeszłości Mazur i Warmii. Czasem omawiałem jakiegoś pisarza, a w związku z tym jego dzieło, znajdujące się właśnie w bibliotece. Nie omawiałem szczegółowo treści książki. Starałem się raczej omówić ją ogólnie lub jakiś jej fragment, by w najciekawszym miejscu przerwać i w ten sposób zachęcić słuchacza do przeczytania książki informując, że daną książkę może bezpłatnie wypożyczyć w bibliotece powiatowej. Liczba czytelników w bibliotece powiatowej, a ściśle mówiąc w oddziale miejskim tejże biblioteki, nie przekraczała w pierwszym roku jej istnienia 200 osób.

... Wkrótce przeszedłem całkowicie na etat bibliotekarski. Początkowo pobyry wypłacał Inspektorat Szkolny, a później Wydział Powiatowy, którego stałem się etatowym pracownikiem. W ten sposób niemal całkowicie straciłem kontakt ze szkołą. Często w tym czasie przebywałem w terenie w związku z zakładaniem punktów bibliotecznych. Wzrosła liczba różnych wyjazdów do Olsztyna na zebrania i posiedzenia, co było stratą czasu, gdyż poruszano często sprawy błahe i nie osiągnąo żadnych wyników konkretnych.

Tymczasem z braku czasu nie można było załatwić spraw istotnie ważnych i pilnych, które narastały w czasie mojej nieobecności. Wspomniałem już, że w Barczewie powstała prywatna introligatorka ob. Łukasiewicza, który przybył z Łodzi i wyraził chęć osiedlenia się w Barczewie i założenia większej pracowni introligatorskiej. Ułatwiłem mu kontakt z kierownikiem Referatu Bibliotek i niektórymi bibliotekami powiatowymi. Poczęły napływać pierwsze paczki książek do oprawy. Po upływie roku zakład poważnie rozrósł się i zatrudniał około 10 ludzi. Osobiście dawałem do oprawy rocznie przeciętnie po 1000 tomów z biblioteki powiatowej i biblioteki miejskiej. Trzeba przyznać, że książki były oprawione porządnie i dość terminowo. Rosły też limity na oprawę książek jak i ilość przydzielonych książek. Dzięki staraniom udało się wstawić do budżetu Zarządu Miejskiego znaczną kwotę na zakup książek. W ten sposób zapoczątkowany został osobisty księgozbiór Biblioteki Miejskiej w Barczewie, która powstała zimą 1948 roku.

*

We wrześniu 1947 roku w porozumieniu z inspektorem oświaty pozaszkolnej zorganizowałem kurs repolonizacyjny dla młodzieży autochtonicznej. Zgłosiły się same dziewczęta. Były one przeważnie w nader ciężkich warunkach materialnych. Uradziliśmy z inspektorem Neumannem, w porozumieniu i przy pomocy Wojewódzkiego Zarządu Opieki Społecznej założyć dla najbardziej potrzebujących dziewcząt szwalnię w domu kultury. Dziewczęta miałyby bezpłatną naukę kroju i szycia, zapewniony codziennie jednorazowy posiłek oraz pomoc opieki społecznej, mogłyby też korzystać z kursu repolonizacyjnego i świetlicy.

Ciężar organizacyjny spadł na moje barki. Rozpoczęły się dodatkowe wyjazdy do Wojewódzkiego Komitetu Opieki Społecznej oraz żmudne pertraktacje. Nie chciano początkowo przystać na utworzenie takiego kursu, tłumaczono się

brakiem funduszków, maszyny do szycia itd. Posyłało mnie tu i tam. Wreszcie zgodzono się, a nawet obiecano udzielenie pewnej pomocy odzieżowej dla najbardziej potrzebujących podopiecznych...

Pomimo różnych braków i niedociągnięć otworzyliśmy wreszcie kurs, który trwał z górą półtora roku. Chętnych do uczestniczenia było dużo. Musieliśmy się jednak ograniczyć do dwudziestu osób. Nie mogliśmy wziąć więcej, gdyż nie było ani dość środków, ani obszerniejszego lokalu. Pracownię krawiecką prowadziła miejscowa autochtonka ob. Popin, która była jednocześnie organistą w miejscowym kościele.

Prawie równocześnie ze szwalnią powstała świetlica. Otrzymałem po paru miesiącach jeżdżenia do Olsztyna zamówione przez Kuratorium meble: 7 stołów, 28 stołków i szafę. Rozpoczęliśmy normalne zajęcia świetlicowe w czytelni. Odbываły się one trzy razy w tygodniu wieczorami. Ponieważ nie mogłem sam zmieścić się w czasie, otrzymałem częściową pomoc w ob. Lewandowskim, z zawodu elektrotechnikiem, który w znacznej mierze odciążał mnie w zajęciach świetlicowych. Więcej czasu mogłem poświęcić zespołowi czytelniczemu, który istniał przez kilka miesięcy zimowych z liczbą uczestników 15 czy 16 osób. Zaczął również funkcjonować zespół teatralny, który miał w końcu grudnia 1947 r. dać pierwsze przedstawienie. Nie mieliśmy żadnej odpowiedniej sztuki, toteż postanowiliśmy dać wieczór pieśni, tańca i deklamacji.

Powstała również myśl wskrzeszenia na Warmii nie znanego już większości autochtonów staropolskiego opłatka przy stole wigilijnym. Uroczystość tę zorganizowaliśmy. Otrzymałem na ten cel pewną kwotę z Inspektoratu Szkolnego. W tym uroczystym wieczorze o bogatym programie wzięli udział przedstawiciele władz szkolnych i miejskich oraz przedstawiciele miejscowego społeczeństwa przy licznych udziale młodzieży autochtonicznej. Nie pamiętam już dobrze liczby biorących w niej udział. Zapewne przekraczała ona 70 osób. Zgromadzeni przy stołach łamaliśmy się opłatkiem i składaliśmy sobie życzenia. W czasie wieczoru wznoszono liczne toasty i sypały się przemówienia.

...Następnie odbyły się występy artystyczne naszego zespołu. Najpierw śpiewaliśmy różne piosenki przy obficie zastawionych stołach, a następnie udaliśmy się do sali teatralnej. Śpiewy, tańce, deklamacje urozmaicały nam wieczór.

...Tego wieczora powstała w głowie mojej myśl zorganizowania wycieczki po Polsce dla młodzieży warmińskiej, należącej do naszej szwalni i świetlicy. Pomysł był śmiały, gdyż związane z nim koszty, jak obliczyłem później, wyniosły ok. 100 tysięcy złotych.

Wycieczka po Polsce

Po kilkumiesięcznej pracy z młodzieżą autochtoniczną stwierdziłem przełom w jej psychice. Dotychczasowa bierność, apatia, nieufność i sceptycyzm zaczęły ustępować. Młodzież się rozruszała, stała się bardziej ożywiona, ciekawa, zaczęła zdobywać się na własną inicjatywę. Zwłaszcza zapalił ją projekt wycieczki po Polsce. Prowizorycznie obliczaliśmy koszt wycieczki i zdawało się, że był on nieosiągalny przy naszych możliwościach. Pomimo to trwaliśmy w uporze i postanowieniu jej realizacji. Dyskutowaliśmy z zapałem na ten temat. Wytyczyliśmy trasę podróży. Rozpocząłem szeroką korespondencję ze schroniskami noclegowymi Warszawy, Łodzi, Krakowa, Zakopanego.

Młodzież chętnie uczyła się historii Polski i geografii, wykazywała znaczny postęp w opanowaniu języka polskiego. Z zapałem śpiewała pieśni polskie i uczyła się polskich tańców ludowych.

Trzeba dodać, że Barczewo w owych latach było ośrodkiem szczególnie zgermanizowanym i trudnym do repolonizacji. Początki nasze więc były dobre i rokowały jeszcze lepsze nadzieje na przyszłość.

Postanowiliśmy zapoczątkować fundusz wycieczkowy przedstawieniem. Wybrałem sztukę. Zespół teatralny rozpoczął próby.

Liczyliśmy na to, że dwa, trzy przedstawienia dadzą nam 10—20 tysięcy złotych. Sumy te braliśmy zbyt optymistycznie, bo nie mieliśmy doświadczenia w tym kierunku. Myśl wycieczki tkwiła we mnie głęboko i nasuwające się trudności rodziły chęć do pokonania. Rozumiałem, że poznanie choć częściowe ojczyzny będzie miało duże znaczenie dla młodzieży autochtonicznej, zwłaszcza poznanie takiego starego ośrodka historycznej przeszłości i kultury jak Kraków.

Należało pokazać to wszystko, co warto było pokazać, to o czym młodzież uczyła się przez całą zimę na kursie repolonizacyjnym. W pierwszym rządzie pokazać skarby przeszłości narodu. Jednak zdobycie funduszy okazało się trudniejsze, niż przypuszczałem... Po wielu zachodach „wydębilem“ ze Związku Zachodniego 30 tysięcy złotych na cel wycieczki. Dalsze 15 tysięcy przyrzekł zarząd miejski z budżetu miasta, 10 tysięcy obiecał Inspektorat Szkolny. Kilkanaście tysięcy dały przedstawienia. I tak w twardym wysiłku i uporze gromadziliśmy nasz fundusz wycieczkowy.

Resztę pieniędzy postanowiłem zebrać bądź drogą dalszych przedstawień lub zabawy tanecznej. W najgorszym razie miałem przeznaczyć pozostałe kilkanaście tysięcy złotych z ministerialnej dotacji 80 tysięcy złotych, jakie otrzymałem na dom kultury w Barczewie zimą 1947 roku. Część dotacji poszła na radiofonizowanie budynku, część na dalsze remonty, przebudowę sceny i konieczny sprzęt. Zostało mi jeszcze około 10 tysięcy złotych. ... W końcu kwietnia miałem do dyspozycji około 80 tys. złotych.

Z tą kwotą można już było myśleć o wycieczce. Rozpocząłem więc przygotowania do niej. Obliczyłem dokładnie koszty przejazdów, wyżywienia, noclegów i różnych drobnych wydatków. Otrzymałem szereg listów od schronisk wycieczkowych. Miałem więc dokładne informacje o wysokości czekających nas wydatków.

Rozpocząłem starania w Dyrekcji Kolejowej w Olsztynie o zniżkę kolejową. Niestety nie otrzymaliśmy 50% zniżki, tylko 33% oraz zapewnienie, że otrzymamy na 20 osób 2 wolne zarezerwowane dla nas przedziały w pulmanowskim wagonie. Wycieczka miała trwać 7—8 dni. Na dłużej nie mogliśmy sobie pozwolić, tym bardziej że planowaliśmy wyjazd z Krakowa do Zakopanego na jeden dzień autobusem.

... Nasze przygotowania do wycieczki dobiegły końca. Ustaliliśmy dzień wyjazdu. Nawiązałem kontakt z krakowskim Towarzystwem Przyjaciół Warmii i Mazur. Obiecano nas oczekiwać i ułatwić zwiedzenie Krakowa. Zapewniono nocleg. Robiliśmy zapasy żywności. Dziewczęta napięły smakowitych „kuch“. W przededniu wyjazdu zaopatrzyłem się w uprzednio już zamówioną wędlinę, masło, cukier, konserwy itd. Zrobiłem kilka pogadanek o przeszłości Krakowa i jego zabytkach. Jechał z nami również instruktor świetlicowy ob. Lewanowski.

Przyszedł wreszcie oczekiwany gorąco przez młodzież dzień wycieczki. Poranek był pogodny i wyjątkowo ciepły. Objuczeni plecakami szliśmy na stację. Wszyscy byli podnieceni i roześmiani. Sypały się dowcipy i przekomarzenia się. Jasnowłosa Hilda nuciła pod nosem krakowiaka. Lewandowski, otoczony gromadką dziewcząt, przekomarzał się i wywoływał salwy śmiechu.

...Przez kilka minut czekaliśmy na peronie przyjazdu pociągu z rozkoszą wdychając świeże powietrze i grzejąc się w porannym słońcu. Nadjechał niecierpliwie oczekiwany pociąg i młodzież wśród śmiechu i okrzyków przepychała się do mocno przepełnionych wagonów.

W Olsztynie sytuacja poprawiła się, mieliśmy zamówione przedziały. Toteż rozmieściliśmy się wygodnie późnym wieczorem w zamówionych przedziałach.

... Jechaliśmy przez tereny b. Kongresówki. Spojrzałem, że młodzież pilnie obserwuje roztaczający się za oknem krajobraz i coś z cicha komentuje...

... Teren, przez który przejeżdżaliśmy, nie grzeszył ani bogactwem, ani wysoką cywilizacją, przedstawiał się bardziej ubogo niż teren Olsztyńskiego, wśród którego ta młodzież się urodziła i wzrastała. Nie zabierałem jednak głosu. Wyręczył mnie Lewandowski, który chociaż nie miał pełnego średniego wykształcenia, był człowiekiem dość czytany, poza tym był w okresie ostatniej wojny na trzech kontynentach. Walczył w Afryce, przebywał czas dłuższy w Anglii. Przypominał on dziewczętom dzieje Polski w okresie ostatnich 150 lat. Rozbiory kraju, walki wyzwoleńcze, upóźnienie gospodarcze, ucisk pańszczyźniany, narodowościowy, gospodarczy i polityczny. Wyzwolenie się Polski po pierwszej wojnie światowej i nieudolne rządy sanacji w okresie dwudziestolecia, przejawy niesprawiedliwości społecznej na wsi i w mieście. Dziewczeta przycichły i słuchały dosyć uważnie. Ja ze swojej strony zacząłem uzupełniać wywody instruktora tym, że rząd niemieckiłożył olbrzymie sumy na inwestycje w Prusach Wschodnich. Tak rozmawiając i dyskutując, gdyż i dziewczeta zabierały głos, zaczęliśmy zbliżać się do Warszawy.

Poranek był ciepły. Niebo bez jednej chmurki. Mimo wczesnej pory słońce mocno grzało. Już z daleka na tle rozświetlonego błękitu ponuro znaczyły się okopcałe ruiny Starego Miasta i wypalonych domów wzdłuż lewego brzegu Wisły. Nad wszystkim górował ciemny prostokąt pogruchoanego, choć z daleka mało widocznego Prudentialu. Dziewczeta do połowy wychylone przez okna patrzyły w milczeniu na majak zrujnowanej przez wroga w czasie powstania stolicy, o której tyle już słyszały. Nie padały już krytyczne docinki, dziewczeta swoje uwagi wymieniały w skupieniu i półgłosem...

Pociąg raz po raz mijał zgruchotane hale warsztatów kolejowych i rzędy zniszczonych wagonów przeznaczonych do naprawy lub rozbiórki. Zatrzymał się wreszcie na Dworcu Wschodnim. Wysiedliśmy i na placu przed dworcem sprawdziliśmy obecność. Dwudziestką piątką pojechaliśmy w kierunku śródmieścia.

... Wysiedliśmy na rogu Nowego Świata. Tego dnia zwiedziliśmy Muzeum Narodowe, ruiny Starego Miasta, które zrobiły na dziewczętach olbrzymie wrażenie. Po południu byliśmy w Łazienkach i Ogrodzie Botanicznym. W nocy ruszyliśmy dalej. Przyjechaliśmy do Krakowa b. wcześniej i przeszło godzinę czekaliśmy na dworcu. Zwątpiliśmy nawet, czy ktoś po nas przybędzie. Musiałem zatrzymać dziewczeta rwące się do zwiedzania miasta. Czekanie nasze nie było daremne. W pewnej chwili podeszły do nas dwie osoby, pan w średnim wieku

i młoda elegancko ubrana kobieta i przywitani nas serdecznie. Poznali nas od razu, choć widzieli nas po raz pierwszy. Po kilkuminutowej wymianie zdań ustawiliśmy się parami i ruszyliśmy do śródmieścia. Dziewczęta z zachwytem oglądały mijany Barbakan i Bramę Floriańską, mury forteczne starego Krakowa, wiekowe domy, ulice. Zachwyty doszedł do zenitu, gdy znaleźliśmy się na rynku krakowskim w obliczu kościoła Mariackiego i starych Sukiennic. Nie pozwolono nam na dłuższe postoje. Miał być na to przeznaczony osobny czas. Zaprowadzono nas do specjalnie przygotowanych kwater. W ciągu trzech dni mieliśmy zapewni-one bezpłatne noclegi i obfite wyżywienie. Oszczędziło to nam znacznie gotówkę. Mogłem przeznaczyć pewną kwotę na podział między uczestników wycieczki, aby wszyscy mogli kupić drobne pamiątki z Krakowa. Sporo pieniędzy pochłonęły nam napoje gaszące pragnienie, gdyż dni były bardzo upalne. W tym samym mniej więcej czasie przyjechała do Krakowa druga wycieczka. Była to młodzież Uniwersytetu Ludowego w Morągu, parokrotnie od nas liczniejsza. W ciągu trzech dni spotykaliśmy się razem na posiłkach, wycieczkach i uroczystościach dla nas zgotowanych.

Poznałem autora książki o Warmii i Mazurach pt. „Ziemia odnalezionych przeznaczeń“, Stefana Sulimę, którego w rok później miałem przyjemność gościć w Domu Kultury w Barczewie, gdzie odbyło się spotkanie autora z miejscową ludnością na wieczorze literackim.

Tymczasem w Krakowie goszczono nas po staropolsku. Nie mieliśmy czasu na odpoczynek. Do południa zwiedzaliśmy Kraków, jego szacowne zabytki architektoniczne, muzea i okolice. Później obiad, a po południu przyjęcia, piękne pokazy oryginalnych tańców krakowskich, w których uczestniczyła nie tylko młodzież szkół średnich, ale prawdziwa młodzież chłopska spod Krakowa w przepysznych, prawdziwych strojach krakowskich. Wygłoszono wiele przemówień. Byliśmy też w teatrze. Uczestników wycieczki obdarzono pięknymi programami uroczystości i drobnymi upominkami. Otrzymałem też kilka paczek książek polskich. Największe wrażenie na dziewczętach robiły bogate wnętrza kościołów, które zwiedziliśmy niemal wszystkie. Wawel podówczas jeszcze w znacznej części remontowany i odbudowywany zrobił wrażenie nieprzemijające. Wnętrze katedry, groby królewskie, grobowce wieszczów zwiedzano niemal w modlitewnym nastroju. Zwiedziliśmy kilka muzeów. Pojechalismy do Wieliczki i tu zachwytem nie było końca. Upłynął tydzień od naszej podróży i trzeba było pomyśleć o wycieczce do Zakopanego. Pięknych polskich Tatr nie sądzono było nam oglądać. Tuż przed naszym wyjazdem spadły w górach wielkie deszcze. Zostało zerwanych kilka mostów. Przerwana została komunikacja autobusowa. Przedłużający się pobyt w Krakowie, mimo gościnności gospodarzy, pochłaniał nam po trochu nasze fundusze (lody, lemoniada, drobne upominki). Trzeba było myśleć o powrocie i nie nadużywać gościnności gospodarzy. Dziewczęta nie chciały jednak słyszeć o tym, prosząc o przedłużenie pobytu w Krakowie choć o jeden dzień. Tak. Odnieśliśmy zwycięstwo. Ślad tej wycieczki pozostanie na długo w duszy młodych autochtonów. Mimo wszystko musieliśmy wyjechać w terminie. Serdecznie żegnani i odprowadzeni do wagonów zajęliśmy zamówione przez naszych gospodarzy przedziały. Dziewczęta tłoczyły się przy otwartych oknach, rozmawiały, śmiały się i dokazywały. Zapisywano adresy, wręczano jakieś upominki. Gdy pociąg ruszył, odprowadzający nas szli chwilę razem z pociągiem powiewając chusteczkami, kapeluszymi, rękami. Wreszcie Kraków znikł i zostały nam

długie godziny ożywionej rozmowy, dzielenie się wrażeniami, śpiewy i jeszcze raz śpiewy. Jechaliśmy przez Kielce. Minęliśmy wyniosłe wieże ruin zamku checińskiego i wieczorem dostaliśmy się do Warszawy. Miałem jeszcze wystarczająco pieniędzy na dobrą kolację i na bilety do pociągu pospiesznego.

W tej ostatniej nocy spędzonej w wagonie zmęczenie wzięło górę. Wszyscy spali jak zabici, oprócz kierownika wycieczki, to znaczy mnie. Patrzyłem na szybko mijający uśpiony krajobraz i cieszyłem się z tej pięknej odbytej wycieczki. Tak więc bez wypadku, pełni wrażeń i entuzjazmu, po 8 dniach nieobecności znów kroczyła dwudziestoosobowa grupa dziewcząt po ulicach rodzinnego Barczewa. Poranek był również taki sam piękny i ciepły.

FRANCISZEK IWANOWSKI

WALKA O JĘZYK POLSKI NA KOLEJACH W BYŁYM WOLNYM MIEŚCIE GDAŃSKU

(Wspomnienie)

W bibliotece Polskiej Akademii Nauk w Gdańsku znajduje się pod sygnaturą „Podręcznik języka polskiego dla asystentów i konduktorów”, wydany w r. 1929 przez Dyрекcję Okręgową Kolei Państwowych w Gdańsku. Mało osób zna genezę tego podręcznika, cel jego wydania, wielkość wysiłku włożonego do jego opracowania oraz rolę, jaką on odegrał w walce o realizację praw Polski na obszarze Wolnego Miasta w zakresie kolejnictwa. Podręcznik ten wiąże się ściśle z umową polsko-gdańską zawartą w dniu 12. 6. 1929 r., która zakończyła wieloletni i bardzo ostry spór między Polską a Wolnym Miastem (podsycany przez niemieckie związki pracowników kolejowych) dotyczący używania języka polskiego na kolejach w byłym Wolnym Mieście Gdańsku.

Jak wiadomo Polska otrzymała administrację całej sieci kolei normalnotorowych na obszarze Wolnego Miasta Gdańskiego. Administrację tę skrupowano jednakże szeregiem różnych klauzul bądź w sensie praw, bądź też w sensie obowiązków. Jedną z takich klauzul dotyczyła języka urzędowego na kolejach w Wolnym Mieście i ustanowiona została decyzją Wysokiego Komisarza Ligi Narodów z dnia 5. 9. 1921 r., a brzmiała następująco:

„Język niemiecki winien być używany przez wszystkie gałęzie służby Polskiego Zarządu Kolejowego w stosunku do gdańskiej publiczności, oraz obywateli gdańskich, co nie ogranicza bynajmniej uprawnień Polskiego Zarządu Kolejowego do używania języka polskiego wszędzie i wtedy i wszędzie tam, gdzie jest to potrzebne dla sprawnego działania wyższej administracji tego Zarządu, lub jeżeli ktokolwiek z publiczności życzy sobie używać tego języka”.

Na temat interpretacji powyższego postanowienia powstał spór, którego treścią istotną były dwa zagadnienia, a mianowicie: jakiej kategorii pracownicy kolejowi winni znać język polski oraz w jakim zakresie?

Polski Zarząd Kolejowy, biorąc pod uwagę ścisły związek sieci kolejowej gdańskiej z siecią kolejową polską, duży napływ do Gdańska Polaków oraz względy gospodarki personalnej, żądał znajomości języka polskiego od wszystkich pracowników zajętych na liniach gdańskich. Dla ułatwienia w nabyciu tej znajomości Polski Zarząd Kolejowy uruchomił odpowiednie kursy nauki i wyznaczył termin złożenia egzaminu z tego języka. Sprzeciwił się temu jednak Senat gdański zarzucając Polskiemu Zarządowi Kolejowemu tendencje polonizacji sieci gdańskiej. Sprzeciwiły się zarządzeniom Polskiego Zarządu Kolejowego także niemieckie